

Marian Marzyński

„Kultura jest przenośna, można ją wywieźć w walizce”

Iwona Demska:

Proszę powiedzieć coś o korzeniach rodziców, skąd pochodzili mama, tata, może dziadkowie, jak daleko sięga u pana pamięć historyczna rodziny?

Marian Marzyński:

Urodziłem się 12 kwietnia 1937 roku w Warszawie, w klinice położniczej, która była własnością wuja mojej matki, znanego warszawskiego pediatry dra Jana Przedborskiego. Rodzina Przedborskich i Hermanów była od strony matki, pochodzili z Łodzi i z Łęczycy. Mój pradziadek Przedborski był jednym z niewielu Żydów, którzy mieli prawo posiadania ziemi i był dziedzicem w Kucharach. Mój dziadek był z zawodu ekonomistą, zajmował się biznesem, odziedziczył po Hermanach drukarnię w Łęczycy, jak również sklep, jak to się wówczas nazywało, win i wódek. Przedborscy nie byli religijni, mimo, że dziadek był przedstawicielem społeczności żydowskiej w radzie miejskiej w Łęczycy. W czasie szabasu, dziadkowie stawiali świece w oknach. Żydzi wiedzieli, że do synagogi nie chodzi, ale szanowali go. Moja matka poznała w Łęczycy Borysa Kusznera, którego ojciec był dentystą, miał praktykę w rynku i był religijnym syjonistą, ale jego dzieci odeszły od wiary.

Rodzina Kusznerów pochodziła ze Stołpców, na przedwojennej granicy rosyjskiej. Patriarcha rodu był piekarzem. Miał jedenaścioro dzieci. Przy tak dużej rodzinie trudno, by każde z dzieci odniosło sukces, zwłaszcza w małym mieście, ale pojawił się mój dziadek Markus, który jako jedyny z tej rodziny wyjechał do Saratowa, do Rosji, do szkoły dentystycznej. Żeby zrobić przyjemność Kusznerom, w roku 1930 moi rodzice wzięli ślub w synagodze. Ojciec był lewicowcem i internacjonalistą dalekim od religii, dlatego na przekór rodzicom postanowił nie obrzezać mnie w 1937 roku, co było zdarzeniem niesłychanym, bo nawet niereligijni Żydzi czuli się w obowiązku obrzezania swoich synów jako symbolu przynależności. Mój ojciec przewidywał zagładę Żydów i kto wie czy nie dzięki temu, pozostałem przy życiu.

ID:

Najwcześniejsze pana dzieciństwo przypada na czas wojny. Co pan zapamiętał?

MM:

W 1939 roku pamiętam dźwięk syren na moście Poniatowskiego i naloty na Warszawę i jak we mgle, matkę biegnącą z moim wózkiem. Mieszkaliśmy na Wilanowskiej 4, nad Wisłą, pamiętam głos dozorczy: „Panie Kuszner, firanki!” bo było zaciemnienie miasta w czasie niemieckich nalotów lotniczych. W roku 1940, warszawscy Żydzi mieli, jakiś czas,, żeby się przenieść do dzielnicy, którą Niemcy nazwali „wydzielony dystrykt żydowski”. Niemcy nie używali słowa „getto”. które nie jest słowem negatywnym, oznacza po prostu komunę żydowska. Inaczej przenosili się do getta biedni, inaczej bogaci. Mój ojciec miał dobry zawód, wydawał książki, był inżynierem od obróbki drzewa, a poza tym miał bogatego ojca, dentystę. Ludzie, którzy mieli więcej pieniędzy niż inni, przenosili się do tej części getta, w której były lepsze domy, na ogół bliżej granicy getta, tam gdzie dzisiaj stoi Pałac Kultury, ale zarząd miejski zaczął protestować, że Niemcy oddali Żydom zbyt eleganckie kamienice i wobec tego, na skutek tych protestów, Niemcy zaczęli je oddawać stronie polskiej i zmniejszać getto - najpierw jako odpowiedź na żądania, a potem już systematycznie po to, żeby ściągnąć bliżej torów kolejowych.

Zmienialiśmy te mieszkania kilkanaście razy. Te przeprowadzki, odbierałem jak dziecięce przygody. Wynajmowaliśmy trzy pokoje i w każdym pokoju była inna nasza rodzina, a dzieci lubią być w kupie, mieć wokół siebie inne dzieci, kuzynów, jedliśmy i bawiliśmy się razem. Przy tak dużej rodzinie można było łatwiej zdobywać jedzenie. Moja mama pracowała w kuchni, która wydawała posiłki. Ojciec pracował dla rady gminy żydowskiej i był odpowiedzialny za remonty mieszkań, głównie elementów drewnianych. Nie wiem dokładnie jak długo byłem w getcie, sądzę że rok i miesiąc, dwa miesiące? Prawdziwa pamięć zaczęła się przy ucieczce z getta, to był 1942 rok, miałem wtedy 5 lat.

ID:

A mógłby pan opisać tę sytuację w miarę detalicznie? Oczywiście to, co pan zapamiętał.

MM:

Były dwie próby mojej ucieczki z getta. Przychodziły kobiety, które były zawsze anonimowe, nie wiedziało się z kim ma się do czynienia. Znajomi ojca – socjaliści warszawscy, organizowali ucieczki dzieci, prawdopodobnie przez organizacje takie jak Żegota. Przysyłały kobiety, które musiały zorganizować to jakoś, głównie przez łapówki. Musiały mieć łapówkę dla żydowskiego policjanta, dla polskiego policjanta i dla żandarma niemieckiego, trzeba było mieć łapówkę też dla policjanta granatowego po drugiej stronie getta, a potem dla szmalcowników. Za pierwszym razem nam się to nie udało, bo nie było policjanta, którego można było przekupić. Za drugim razem przyjechała kobieta, która mnie przeprowadziła. Miała jeden złoty zegarek, drugi złoty zegarek, wiedziała gdzie ma mnie doprowadzić. Moja ciotka, siostra matki wyszła za mąż za nie-Żyda i to był nasz punkt kontaktowy na Powiślu. Matka miała cały czas kontakt z siostrą, bo telefon pomiędzy gettem a stroną aryjską działał aż do ostatniego transportu. Ludzie, którzy szli na śmierć, godzinę przed tym mogli podnieść telefon i zadzwonić na drugą stronę.

Przekroczenie granicy getta było szybkie, dlatego go nie pamiętam. Pamiętam dorożkę konną, która zatrzymał szmalcownik żądając okupu, moja przewodniczka zawołała policjanta i kazała mu zawieźć nas do komisariatu, żeby ustalić kim jesteś. Komisariat był pusty, dostałem tam od bułkę z cukrem od policjantów, nie byliśmy traktowani jak przestępcy, bo komisarz policji dostał złoty zegarek i wypuścił nas 15 minut przed godziną policyjną.

Nie wiedziałem co to znaczy być Żydem, nie wiedziałem kim był Adolf Hitler, ale rodzice mnie przekonali, że za bycie Żydem jest się zabitym. Wiedziałem, że nie mogę nigdy się przyznać do tego, że jestem Żydem, a jak będę naprawdę w kłopotcie to mam natychmiast zdejmować spodnie i majtki. Też nie wiedziałem dlaczego, ale to było zabawne dla dziecka. Majtki zdejmować?! Ja bym nigdy w tym wieku nie zrozumiał całej koncepcji obrzezania – co jest tragedią dla dorosłych, nie musi być tragedią dla dzieci.

ID:

Co się stało z rodzicami?

MM:

Mój ojciec, jako pracownik gminy żydowskiej miał tak zwana „przepustki na życie”, co znaczyło, że inżynier Borys Kuszner, jego żona Bronisława i ich syn Marian mają odroczone wywózkę z getta. Przez jakiś czas byliśmy bezpieczni, ale gdy ojciec dostał wiadomość od jakiegoś Niemca, że wywożone będą żony i dzieci, rodzice postanowili wyprowadzić mnie z getta. Matka też postanowiła wyjść z getta. Była blondynką, miała niebieskie oczy, w przeciwieństwie do mnie, nie była podobna do Żydówki.

Ojciec został, bo nie mógłby utrzymać się stronie aryjskiej, pomimo swoich znajomości, wygląd miał semicki i był obrzezany, więc wiedział, że będzie rozpoznawany. Tuż przed powstaniem w getcie warszawskim, kiedy pociągi do Treblinki już nie były przepełnione, bo zostali tylko ci, którzy mieli jakieś specjalne zadania w getcie, ojciec i jego brat znaleźli się w pociągu. Udało mu się zabrać skrzynkę z narzędziami i od czasu odjazdu pociągu, wraz z bratem, piłowali dziurę w podłodze, czekając na postój pociągu pod semaforem. Pod Puławami wyszli tym otworem i trafili do domu dróżnika. Dróżnik miał telefon i zadzwonił do matki, która ukrywała się jako służąca w Warszawie u państwa Dobruckich i powiedział, że mąż na nią czeka. Ona przyjechała i zorientowała się jaki był plan. Mój ojciec chciał się przyłączyć do partyzantów, ale nie do AK, bo obawiał się, że się tam nie utrzyma – sytuacja z AK polegała na tym, że mimo iż dowództwo AK nie pozwalało zabijać Żydów, poszczególne grupy partyzanckie różnie ich traktowały, czasem ich przyjmowały, czasem nie, na ogół nie traktowano ich dobrze, czasem zabijano – więc on czekał na Armię Ludową. Matka przyjechała drugi raz, nadal czekał, potem trzeci i już go nie było. Za drugim razem,

odjeżdżając, w pociągu słyszała strzały, ktoś powiedział, że jest oblawa na Żydów. Czyja oblawa, nie wiemy – czy to byli partyzanci, czy Ukraińcy, nie wiemy, ojciec i brat zginęli.

ID:

A jak wyglądał sam koniec wojny?

MM:

Byłem w zakładzie dla sierot księży orionistów. Moim nauczycielem był abp. Bronisław Dąbrowski późniejszy szef episkopatu polskiego. Ksiądz Kamiński i jego gospodyni, którzy mieszkali na Krakowskim Przedmieściu tam mnie umieścili. Gospodyni księdza – ciocia Antosia – myślała na początku, że przyjmuje sierotę z Zamojszczyzny, polską sierotę, ale gdy zobaczyła, że nie jestem obrzezany – zatrzymała mnie, Byłem w niebezpiecznej dzielnicy. Ksiądz był kapłanem szpitala, niemieccy oficerowie byli wszędzie, stwierdził więc że muszę mieć metrykę kościelną. To się przedłużało, nie można było tej metryki wyrobić, więc musiałem się przenieść gdzieś indziej. Potem znajoma ojca zorganizowała dla mnie i mojej matki – chrzest, dostaliśmy metryki na zmienione nazwiska – ja się nazywałem Marian Koczyński, moja matka Zofia Marianna Różańska. Byłem urodzony w Równem, matka miała kenkartę, wszystko oczywiście fałszywe. Kiedy matka przyniosła księdzu metrykę, usiadł z nią i powiedział: „my Marysia zatrzymamy. Zorientowaliśmy się, że to jest żydowski chłopiec, ale ponieważ jest metryka to nie widzimy problemu i próbujemy go umieścić w sierocińcu”.

W sierocińcu ksiądz Kamiński powiedział dyrektorowi kim jestem i nie było żadnego problemu. Oczywiście wyglądałem inaczej niż te polskie sieroty, ale bez przerwy służyłem do Mszy, byłem ulubieńcem księży, bo nikt tak żarliwie nie wierzył w Boga jak – ukrywające się żydowskie dziecko. Inni chłopcy wierzyli, bo w domu chodziło się do kościoła, ja robiłem to z niesamowitą energią, ponieważ czułem, że to jest sposób na przeżycie. Byłem najmłodszy wśród nich, nauczyłem się ministrantury bardzo szybko. Energia brała się też stąd, że zrozumiałem, że rodzice mnie zostawili, że muszę sobie dać radę w życiu sam, bo z jakiegoś powodu moi rodzice nie mogą być ze mną. Po wojnie matka szła pieszo 60 km, żeby mnie odnaleźć. Kiedy ją zobaczyłem, nie poznałem jej, powiedziałem, że moja matka była piękna i młoda, a tej pani ja nie znam. Matka przekonała mnie w końcu następnym razem, podając imię ciotki, którą pamiętałem. Zacząłem nowe życie.

ID:

Mamy koniec wojny, 1945 rok, jest pan w końcu z mamą – jak wygląda wasze życie?

MM:

Matka poznaje przedwojennego przyjaciela rodziny, Daniela Marzyńskiego, który stracił żonę i syna w moim wieku w Oświęcimiu, na samym początku transportów z getta – i zakochują się w sobie. To jest popularna sytuacja powojenna: małżeństwa się reperują na zasadzie kontaktów z kimś, kto jest w podobnej sytuacji. Jedna strona straciła żonę i dziecko, druga straciła męża, chcą wrócić do normalności. Ojczym był inżynierem budowlanym – budował pierwsze domki fińskie w Warszawie, a potem był dyrektorem budowy całej marszałkowskiej dzielnicy mieszkaniowej. Matka była urzędniczką socjalną, też w przedsiębiorstwie budowlanym. Zacząłem chodzić do szkoły, ojciec nie pozwolił mi chodzić na religię, a w szkołę przezywali mnie Moniek – cebula. Miałem kilka takich nieprzyjemnych sytuacji, ktoś gonił z żyłką i krzyczał „parszywy żydziaku”, ktoś rzucił cegłę do naszego domu, nie wiadomo kto.

ID:

Kiedy do pana dotarło to, że bycie Żydem w tej sytuacji, w Polsce to jest coś innego, coś wyjątkowego?

MM:

W roku 1945, moim jedynym marzeniem było słuzenie do Mszy i chciałem, żeby co tydzień mnie zabierano do kościoła. Któregoś razu spadła mi ampułka z wodą czy z winem i się zbiła. Zrozumiałem, że zostałem zdemaskowany, że ja rzeczywiście tam nie należę. I wtedy ojciec postanowił zrobić mi tak zwany zimny wychów i powiedzieć mi, co to

znaczy być Żydem. Na ulicy, kiedy przechodzili ludzie, głośno do mnie powiedział: "Marianku, ty jesteś ŻYDEM!? Ja wpadłem zupełnie w panikę. „Zwykłym Żydem jesteś, a nawet małym Żydem, czyli żydziakiem”, - zacząłem uciekać, żeby tego nie słyszeć, a on krzyczał: „Wracaj tutaj żydziaku, wracaj! Można być Żydem, to nie jest żaden problem teraz!”. Mówię o jednym epizodzie, ale było mnóstwo rozmów, które mi zaczęły wyjaśniać to, czego nie wiedziałem – jak przeżyłem wojnę, że ten mój cały katolicyzm to dekoracja, że ojciec nie żyje – szczegóły o śmierci ojca poznałem dopiero 30 lat później. Matka w ogóle nie mogła o tym mówić. Jako przyszły dziennikarz, bez przerwy ją błagałem, żeby opowiadała. Ona wybuchiała płaczem po dwóch minutach i nie była w stanie nic powiedzieć, bo myśmy stracili, nie wiem dokładnie ilu 15, 20 członków rodziny.

ID:

Pan się czuł Żydem, Polakiem, czy było to dla Pana obojętne?

MM:

Byłem Polakiem walczącym w dzieciństwie, żeby utrzymać się przy życiu, ale problem się skończył. Z taką samą energią, z jaką w sierocińcu zabrałem się do religii, w wieku lat 13 zacząłem pisać artykuły do „Świata Młodych”, napisałem powieść grafomańską o chłopcu, którego ojciec był murarzem, przodownikiem pracy na budowie MDMu i chciał pobić rekord w ułożeniu cegieł. Wychowywałem się w swego rodzaju euforii dla nowej rzeczywistości, ponieważ dorastałem w rodzinie, która odbudowywała z gruzów kraj, a kraj był odbudowywany w imponującym tempie, szczególnie Warszawa, która była po wojnie jedną wielką pustynią. Szybko jednak z przemówień, z głupot, które czytałem, wznoszonych haseł nie mających sensu, zacząłem dowiadywać się o co w tym wszystkim chodzi i zobaczyłem, że żyjemy w koszmarnym ustroju – to znaczy z jednej strony był proces odnawiania życia i ten był naturalny i pozytywny, z drugiej strony było państwo i organizacja, które miały inne cele, W Polsce rozwijałem się zawodowo i intelektualnie, ale byłem zawsze przeciwny. Wiedziałem, że nie wolno mi przystąpić do żadnego ruchu politycznego, broń boże do partii, bo to jest dla twórcy śmierć i mając ten instynkt udało mi się przejść przez studia dziennikarskie – polityczne i nudne, trafić do radia, do telewizji, do filmu, zdobywać nagrody i właściwie żyć na własnych warunkach.

ID:

A kiedy dotarło do Pana, że jest antysemityzm i zrozumiał pan, że to też jest właściwie rodzaj getta, w którym pan się znów znalazł?

MM:

Antysemityzm bagatelizowałem; dla kogoś kto przeżył getto nic gorszego zdarzyć się nie może. Niech pani zwróci uwagę, że my żyliśmy w Warszawie, w atmosferze, w której antysemityzm nie mógł się manifestować. Po pierwsze partia zabraniała antysemityzmu. Antysemityzm był anegdotyczny, to znaczy ludzie mówili źle o Żydach na podstawie tego, co słyszeli przed wojną. Jest bardzo trudno uprawiać antysemityzm w nieobecności Żydów, a uratowała się garstka – elita żydowska, ludzie z wyższym wykształceniem, którzy znali polski, mieli przyjaciół. Dlaczego partia nie chciała o tym mówić? Bo nie chciała kojarzyć Żydów z aparatem bezpieczeństwa, a Żydzi byli tak kojarzeni. Po wojnie to wszystko było zamiatane pod dywan. Nie czułem że żyję w getcie, nie czułem, że ktokolwiek ma do mnie pretensje, odwrotnie – czułem sympatię do tego, że jestem Żydem, od tych, którzy wiedzieli kim jestem. Niektórzy szeptali czasem w pokoju: Żyd, Żyd. Bez znaczenia to było dla mnie, to mnie nie dotyczyło, nie miało to nic wspólnego z gettem. Mój kolega z gimnazjum Batorego, którego spotkałem po latach na zjeździe wychowanków, na pytanie: „Słuchaj wyście wołali na mnie Moniek-cebula, czy wiedzieliście że ja jestem Żydem?” Odpowiedział: „Oczywiście, że wiedzieliśmy. Myśmy tak na ciebie wołali, żebyś rozumiał, że wiemy, że jesteś Żydem i nie mamy z tym żadnego problemu”. „A dlaczego nie rozmawialiśmy o tym?” „Bo nie chcieliśmy cię urazić.” Także ludzie, którzy wyszli z Zagłady sami nie chcieli mówić o tym, że są Żydami – nie dlatego, że się bali, a dlatego, że było to bolesne.

ID:

Kiedy pan założył rodzinę?

MM:

Żonę poznałem w Gdyni, wszystko się działo tutaj. Ona na spacerach zabierała mnie do portu i tu zobaczyłem pierwszy przyjazd Batorego w 1961 roku, po czym szukałem wszelkich możliwych okazji, żeby znowu przyjechać na Wybrzeże i się z nią spotykać. Za każdym razem jak przyjeżdżałem, przyplływał "Batory". Zacząłem to oglądać i zrobiłem najpierw reportaż radiowy „Hello, Mr. Batory”, potem reportaż telewizyjny na żywo pod tym samym tytułem, potem przy jakiejś okazji, bal na "Batorym", po czym zrobiłem film „Powrót statku”, który dostał podwójne grand prix na festiwalu w Krakowie i zrobił ze mnie filmowca. Wtedy oczywiście nie mieliśmy pojęcia, że będziemy emigrantami.

ID:

Zbliża się rok 68' , atmosfera antysemicka się zagęszcza, jak to pan odczuwa?

MM:

To się zaczęło już w 67 przed telewizorem, kiedy Gomułka mówił: „obywatele polscy żydowskiego pochodzenia muszą opowiedzieć się, albo po stronie Polski Ludowej, albo po stronie imperializmu izraelskiego i amerykańskiego, a w tym przypadku nie będą mogli zajmować poważnych stanowisk, a jeżeli będą chcieli opuścić Polskę to nie będziemy stwarzali im przeszkód”. To był szczyt idiotyzmu, jaki przeżyłem w Polsce Ludowej. Ja jednak projektuję swoje życie nie według realności, tylko według tego, co mi się wydaje, że realne powinno być. W związku z tym idę do telewizji i robię swoje. Ludzie zaczynają do nas przychodzić do domu i pytają, kiedy będziemy emigrować, a my w ogóle nie rozumiemy o co chodzi. Mój najbliższy przyjaciel w telewizji składa papiery o emigrację, prosi mnie żebym też wyemigrował, a ja mówię, że nie, to mnie w ogóle nie dotyczy, ja nie jestem obywatelem polskim żydowskiego pochodzenia, ja jestem Polakiem, który jest przy okazji Żydem i nie mam zamiaru emigrować. To było absurdalne, ktoś się pytał sekretarza partii po czym się poznaje Żyda, a na to on : „Żyd to nie jest ten, który się czuje Żydem, tylko ten, którego my uważamy za Żyda”. Czyli to była akcja, która równie dobrze mogła być przeciwko garbatym, czy cyklistom, czy ludziom, którzy mają zielone oczy. Oczywiście dla niektórych nie było w tym absurdu, ludziom przypominało się getto, ci którzy byli komunistami z przekonania uważali, że życie im się kończy, myśmy w końcu wyjechali, bo nie chcieliśmy, żeby nasz syn musiał przechodzić przez to, przez co nasza rodzina przechodziła od wielu pokoleń. Nie mieliśmy żadnej pewności, czy jemu się uda tak funkcjonować, jak mnie się udało, chcieliśmy go uchronić od kłamstwa, od tego, że co innego mówi się w domu, a co innego na zewnątrz.

ID:

Ale 1968 rok, wydarzenia z marca, Dziady Dejmka, ta cała sytuacja – czy ona była jakąś kroplą, która przelała czarę?

MM:

Marzec 68' to byli polscy studenci, którzy mieli już dosyć całej tej komuny, a przy okazji odezwały się ataki antysemickie, bo Gomułka powiedział w 67r., że obywatele pochodzenia żydowskiego muszą sobie wybrać ojczyznę. Mieliśmy już wtedy pomysł z żoną, żeby pojechać do Francji. Odrzuciliśmy to, ponieważ za długo jeździliśmy do Francji i wiedzieliśmy, że Francja ma również tradycje antysemickie. A Dania dlatego, że postanowiła nas przyjmować jako uchodźców politycznych, po zabranii nam obywatelstwa. Ambasador Danii w Polsce oglądał mój "Turniej Miast" i napisał list do swojego kolegi z liceum, który był prezesem radia i telewizji, żeby ewentualnie coś dla mnie zrobił. Telewizja mnie w końcu zaprosiła i zrobiłem film o emigrantach żydowskich na statku, który po duńsku nazywał się Skibet – znowu statek. Od "Batorego" statki mnie prześladowają, jak słyszę słowo statek to od razu myślę, jaki film można by na nim zrobić. Była więc telewizja duńska, robiłem programy rozrywkowe, żona pracowała w biurze architektonicznym.

ID:

Dania miała być trochę przystankiem? Docelowo miała być to Ameryka?

MM:

Nie, ja nawet o tym nie myślałem, ale zachowywałem się całe życie jak Amerykanin, bo wiedziałem instynktownie, że jestem człowiekiem, który powinien żyć w kraju wolności, a w Polsce czułem, że jej nie mam.

ID:

Ameryka pana rozczarowała?

MM:

Zachwyciła! bW Danii ciągle się nas pytało czy jak komunizm się skończy to wrócimy do Polski. Gościnność europejska polega na tym, że emigrantów przyjmuje się jako przejściowych gości, bo wciąż się tam myśli, że ludzie przynależą tam, gdzie się urodzili. Wzruszająca była odpowiedź jednego z bohaterów mojego filmu „Powrót statku” na pytanie: „czy na długo przyjechał pan do Polski”? Odpowiedział: „Proszę pana, ja jestem jak słoń, który przyjeżdża do miejsca gdzie się urodził i tam już zostaje”. Ja udowodniłem swoim życiem, że się nie wraca, a ten co przyjeżdżał jak słoń – że po to się emigruje, żeby któregoś dnia móc wrócić. To wszystko zależy, jak kto sobie ułoży w głowie. Czyli emigracja jest sprawą prywatną. Na pytanie, czy mógłby mieszkać w Polsce?, odpowiadam „nie”. Nie dlatego, że mi się Polska nie podoba, nadal mam do niej stosunek emocjonalny, ale trudno byłoby mi się pogodzić z tym, żeby tak jak u Gombrowicza w „Ferdydurke”, być z powrotem posadzonym w ławce szkolnej.

ID:

Panie Marianie a jak się pan dzisiaj czuje? Kim im pan jest – Polakiem, Żydem?

MM:

Jestem Polakiem, a przy okazji Żydem, a jeżeli chce mnie pani zmusić do odpowiedzi kim jeszcze jestem, to trochę Duńczykiem, trochę Francuzem, w dużym stopniu Amerykaninem. To jest tak, jakby pani się pytała czy bigos to jest kapusta, tak w zasadzie to jest kapusta, ale ile jest wspaniałych rzeczy jeszcze w bigosie, żeby ten bigos był naprawdę dobry. Po prostu we współczesnym świecie musimy gromadzić te wszystkie rzeczy, one nam mogą w życiu tylko pomagać. Nie wszyscy są w stanie to zrobić, bo nie wszyscy wywożą z kraju ukształtowaną kulturę, niektórzy wywożą minimalne wykształcenie, ale gdy ma się 32 lata i skończyło się studia, to się tę kulturę wywozi w walizce.

Kultura jest przenośna, można ją uprawiać gdziekolwiek się chce. Ja amerykańskiej kultury nie zaabsorbowałem, nie widziałem nic specjalnego do zaabsorbowania. Oczywiście nauczyłem się pewnych technik, pewnych zawodowych spraw, dużo zaproponowałem kulturze amerykańskiej z mojej własnej kultury, choćby styl filmów, ale źródło moje jest tutaj i tu pozostanie. Zrobiłem film o typowym emigrancie polskim, parobku ze wsi Jaślany, który w Ameryce został fryzjerem. Przyszedł do niego Żyd i mówi: „Franek, ile masz na godzinę? 50 centów! Idź do mojego kolegi na dworcu głównym w Chicago, który goli żołnierzy wyjeżdżających na front europejski.” Poszedł tam golić i zamiast 10 dolarów na tydzień, zaczął zarabiać 20. Zaczęło mu się dobrze powodzić, sprowadził rodzinę z Polski i stał się „ojcem-założycielem” polskiego klanu emigrantów. Tacy jak on na początku wieku, wypływali z Bremy do Ellis Island, a potem odwiedzali Polskę na pokładzie „Batorego”, który cumował tutaj, przy dworcu morskim, gdzie jest dzisiaj Muzeum Emigracji. Mój film nazywał się „God Bless America and Poland Too” (Niech Bóg błogosławi Amerykę i Polskę też”), w tym filmie na pytanie kim się czuje, 95-letni Frank Popiołek, tak mi odpowiada: „ Czuje się Amerykaninem, bo tutaj wiedzą jak robić rzeczy, ale serce mam polskie”.

Album autobiograficzny Mariana Marzyskiego KINO-JA. ZYCIE W KADRAH FILMOWYCH jest do nabycia w internecie : ksiegarnia@universitas.com.pl